

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 3

WĄBRZEŻNO, DNIA 4 MAJA 1935 ROKU

ROK 5

Ave Maria...

- Ave, Maria—... zaszumią drzewa
W ciemnym, cichym lesie,
- Ave, Maria... ptaszyna śpiewa,
— Ave, Maria... wiatr niesie.
- Ave, Maria gracia plena...
Ziół szepca Ci kielichy,
- Zdrowaś Maryjo, laskis pełna
Fiołek dzwoni cichy.
- Ave, Maria... nuci skorzonek
Zawieszony u błękitu,
- Ave, Maria... wtóruje dzionek
Różowy blaskiem świtu.
- Ave, Maria... bije w niebiosy
Miłosnym hymnem chwały
Przybrany w djadem z kropelek rosy
Perłowej — las nasz cały.
- Ave, Maria — świat cały śpiewa
Schylając kornie głowy —
Chwała Maryi dźwięczy, rozbrzmiewa
Z prośbą by lud był zdrowy.
- Ave, Maria... w rannej godzinie
Pozdrowia Cię, Panienko,
Calutka ziemia, pieśń jej płynie
Do stóp Tymych, o Jutrzenko!
ST. SIEMIŃSKA.

Dzieciątko i daktyle

(Legend a)

Jak i gdzie i kiedy powstała ta legenda? Któż to wiedzieć może?

Czy przynieśli ją z Ziemi Świętej pobożni pielgrzymi? Czy zapaliła się w sercach rycerzy krzyżowych. Czy może zakielkowała w głowie jakiegoś kupca, wiozącego zamorskie daktyle przez dalekie pustynie? Czy dojrzała w promieniach gorącego słońca Azji, czy może w bladym jego blasku na północy? Bo któż to wiedzieć może, czy nie wyrosła z miłości do Najświętszej Panny na naszej ziemi?

Jak, gdzie i kiedy powstała ta małeńka, a śliczna w swej prostocie legenda — niewiadomo.

Słońce śle z nieba potoki światła. Rozpalone piaski pustyni buchają gorącym. W pyłe i spiekocie słonecznej coś się porusza na olbrzymiej, okiem niezmierzonej przestrzeni. To małeńka karawana: kobieta na osiołku i starzec. Słońce praży biedne głowy, a wiatr wciska w usta i gardła suchy pył pustyni. Idą tak wolno i coraz wolniej. Osiołek potyka się co

chwila na wystających w piasku kamieniach. Starzec coraz częściej przystaje, dysząc ciężko. Jakże im przemierzyć te niezmierzone pustynie? Jakże im wyżyć w tym żarze, co ich dławi, w znużeniu śmiertelnym?

Naraz kobieta podniosła głowę i, przysłoniwszy oczy ręką, zatopiła je w bezmiernej dali.

— Józefie, czy nie widzisz?

Starzec utkwiał zmęczone źrenice w piasku pustyni.

— Nie, Marjo.

— Ależ patrz, tam daleko, jak cienie, widzę nawprawdę drzewa!

W tej chwili osiołek podniósł głowę, pociągnął nozdrzami powietrze i ruszył żwawiej.

Idą... A na białym tle nieba coraz wyraźniej rysują się pióropusze palm. Widzi je teraz i Józef.

Tam — zbawienie, tam — odpoczynek, tam — woda. Niebawem pochyleni nad krwnicą, piją i nasycić się nie mogą. Wreszcie ugasili pragnienie. Marja usiadła pod drzewem i uchyliła rąbek płaszcza. Słodko i cicho śpi dziecięta.

— Józefie, czy nie masz kawałka chleba? Jeść mi się chce.

Starzec sięgnął do torby. Wie, że w niej już nic nie znajdzie. Ale może, a nuż się w niej jakaś kruszyna znalazła...

— Nie, Marjo, nic nie mam.

Marja nakryła głowę płaszczem. Co teraz będzie? Nie o nią chodzi, ale o Dzieciątko. Jakże Je nakarmi, gdy sama jeść nie będzie? A wszak to Dzieciątko — to nietylko Jej dziecko — to Zbawienie, to Cud. Ono nie może umrzeć.

Cichy wiatr zaszemrał liśćmi palmy. I naraz na kolana Marji sypać się zaczęły podłużne, brunatne owoce. Jedna myśl tylko powstała Jej w głowie: jeść prędko, aby nakarmić Dzieciątka. Zatopiła zęby w miękkim, słodkim miąższu. Zgrzyt — i zab obsunął się na twardej pestce. Marja odrzuca pestkę i je dalej.

— Nazajutrz rano, gdy w słonecznej dali niknęły postacie starca i niewiasty, palma zaszemrała z cicha. W pustyni rozległ się szepot modlitwy.

— Panie, jakież pozwolił mi ją nakarmić i uratować Dzieciątka od głodowej śmierci, tak zwól mi jeszcze

jedną łaskę. Daj, niech na tę pamiątkę dzieci moje i dzieci moich dzieci aż do skończenia świata noszą ślad jej zębka.

I odtąd wszystkie daktyle mają na pestce małeńki okrągły znaczek i mieć go będą aż do skończenia świata.

JAK TO BYWA NA MISJACH

Jedna z sióstr misjonarek w Birmanji opowiada:

„Pewnego dnia, gdym wycinała hostje w zakrystji, nieśmiało zbliżyła się do mnie małeńka Cille, dobre, kochane dziecko, liczące około 5 lat.

Patrząc raz na mnie, raz na wycinane przezemnie hostje, zapytała: Co to są te białe kółeczka, które Siostra wycina?

— Prawda! Ty jeszcze nie wiesz — jesteś za młoda — to są hostje, które jutro Phummi (ksiądz) podczas mszy św. będzie konsekrował, to jest każda przemieni w Pana Jezusa, a potem da Go siostram, twoim koleżankom i innym chrześcijanom - katolikom. Gdy trochę podrośniesz, a będziesz dobrą, to i ty Go otrzymasz.

Dziecko rozszerzyło swe piękne nieśmiałe oczy, i po chwili rzekło:

— Pozwól mi pocałować jedną z tych hostyj!

— Pocałować? Zdaje się, że wolałabyś ją zjeść aniżeli ucałować!

— Nie, proszę Siostry. Ja chciałabym ją ucałować — odpowiada rezolutnie.

— A dlaczego? Czy nie wiesz, że to zwyczajny chleb?

— To nie nie szkodzi! Chciałabym ucałować hostję, bo Jezus przybywszy do niej, odnajdzie mój gorący pocałunek. A ja Go tak kocham...

— Jeśli już tak koniecznie chcesz, to musisz przedtem dobrze umyć sobie buzię, bo widzisz, te hostje takie czyste...

Po pięciu minutach, gdym już o tem zapomniała, wchodzi ucieszona i wymyta Cille.

Cóż miałam zrobić, aby ją zadowolili i rozpalić miłość ku Panu Jezusowi? Nietylko jedną — ale dwie hostje przybliżyłam do drzących jej warg, na których złożyła niewinny swój pocałunek.

K. M.

Opowiadanie

Cioci Pióro

O STARYM PIOTRZE I MAŁYM STEFKU, ZAWZIĘTYCH RYBOŁOWACH!

Za miastem tuż prawie nad rzeką, stoi stara, wrośnięta w ziemię i pochylona ze starości chałupka, stara słomiana strzecha jest tak zarośnięta mchem i trawą, że raczej przypomina łakę niż dach. W chałupce mieszka stary Piotr. — Piotr jest już bardzo stary, — ma chyba ze sto lat, twarz ma pomarszczoną, włosy siwe prawie białe. Stary Piotr jest rybakiem. Dawniej jeszcze parę lat temu, kiedy był silniejszy, pracował przy połowach z niewodnem. Teraz ze starości, a może z wilgoci reumatyzm mu tak dokucza, że musiał zrezygnować z pracy.

Jeździ sam starą płytką łódeczką, i łapie ryby na wędkę. Cały dzień spędza na wodzie.

Stefek jest poprostu zakochany w starym Piotrze. Nikt tak jak on nie zna jeziora i rzeki.

Piotr wie gdzie najlepiej „biorą” leszcze, liny, szczupaki. Wie gdzie można nakopać najlepszych robaków. Piotr ma masę wędek, małych i dużych. Wie jak łapać duże szczupaki „na żywcą”. To też kiedy się nareszcie ocieplilo, wiosna wypędziła zupełnie zimę, Stefek pobiegł do starego Piotra. Zastał go przy naprawianiu wędek:

— Piotrze można będzie pojechać — zapytał?

— Ano można — odpowiedział Stary. — a chciałby Stefek dzisiaj? Słoneczko dobrze już przygrzewa, możnaby nawet szczupaka...

Pojechali. Stefek drżał z niecierpliwości. Wkrótce zatrzymali się na jeziorze, nawprost tej dużej polany, gdzie jest tyle malin w lecie. Piotr spuścił na dno kamień na długim mocnym sznurze. Sznur przywiązał do łódki.

— Tu można będzie „na podcinke” łapać — mruknął.

Stefek wie co to znaczy. Bierze małą wędkę z długą 20-to metrową żyłką. Po chwili kilka pływaków kołysze się na wodzie. Stefek patrzy, patrzy, aż oczy bolą — woda lśni w słońcu. — O! poruszył się... — Nie to fala poruszyła pływaka. Teraz Stefek krzyknął triumfująco. P o d e r w a ł wędkę i oto na dnie łodzi trzepocze się mały srebrny leszcz. Staremu Piotro-

wi można zaufać. Miejsce okazało się dobre. Po godzinie w koszyku wyłożonym olchowymi liśćmi, było pełno małych wprawdzie, leszczów, okuni i krapci. Stary Piotr pokręcił głową.

— Same śmiecie — skrzywił się — a możebyśmy teraz na szczupaka pojechali?

Znowu płyną. Stefek taki szczęśliwy, że nareszcie po długiej zimie, można znowu jeździć ze starym Piotrem w trzcinę i z bijącym sercem siedzieć cichutko i czekać...

Zatrzymali się. Koniec łódki dotyka trzcinę: jest cicho. Stary Piotr porusza się bez szelestu. Zakłada żywą płótkę na haczyk. To już nie jest przezroczysta żyłka, ale linka stalowa, którą się trzyma mocno w rękę. Po długich targach, na migi naturalnie, bo trzeba być cicho, stary Piotr oddał linkę Stefkowi.

— A trzymaj mocno panieczku, bo cię jeszcze szczupak do wody wciągnie, przestrzega stary.

Serduszko Stefka bije mocno, może nawet za mocno, bo gotowe jeszcze spłoszyć szczupaka. Ręka już zdrętwiała, ale siedzi cicho bez ruchu. Pływak drgnął. Raz... drugi... trzeci... Stefek wie, że to szczupak chodzi koło płotki i może zaraz znęci się na zdołbycz. Nagle rękę Stefka wraz z stalową linką coś szarpnęło, tak mocno, aż łódka zachybotała się i gdyby nie Piotr, Stefek wpadłby głową do wody. Piotr odebrał chłopcu linkę, szarpnął nią z całej siły.

— Jest! zawołał — i to wielka sztuka. Stefek ma szczęście. Nie często można złapać takie coś.

Linkę trzeba było mocno trzymać, bo w przeciwnym razie szczupak porwałby ją i uciekł. Stary Piotr przywiązał linkę do żelaznego haka wbitego w dziób łódki. Woda zakotłowała się. To szczupak rzucił się, chcąc się wyrwać. Stefek drżał z podniecenia. Ujął wiosła. Piotr skierował łódkę do brzegu. Smuga piany za łódką wskazywała, że szczupak nie dał za wygraną. Na brzegu odwiązali linkę i powoli wyciągnęli szczupaka na piasek. Rzeczywiście był to ogromny okaz. Stefek szalał z radości. To on mały chłopiec złapał takiego olbrzyma. Nawet stary Piotr uśmiechał się i mruzczał pod nosem coś o szczęściu takich smarkaczów.

Długo potem Stefek opowiadał o swoim sukcesie. Żałował tylko, że szczupaka nie można wypchać, żeby wszyscy widzieli.

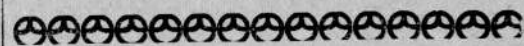
CIOCLA PIÓRO.

Legenda o goździkach

Na skraju lasu, na ziemi piaszczystej kwitną do późnej jesieni czerwone, śliczne goździki. Wśród suchych traw wystrzelają ku niebu na wiotkich i długich łodyżkach, kołysząc się wdzięcznie w powietrzu. Wokół nich sterczą już uschłe tylko badyły innego ziela. Czemu to śliczne goździki mają jak krew czerwone kwiecie.

Gdy Pan Jezus dźwigał krzyż na Golgotę, szedł z nim tłum ludzi, a w tłumie — Matuchna Boża. I gorzko płakała nad Synem, a łzy płynęły po Jej świętych licach i padały na ziemię. Płakała tak długo, aż źródła łez wyschły. Wówczas w bólu i żalu nieutulona poczęła płakać krwawymi łzami. I oto z tych krwawych łez Matki Bożej, padających na ziemię, poczęły wyrastać goździki.

W jesiennem słońcu jak krople krwi błyszczą i są zwiastunami zimy, która białym całunem śmierci okrywa pola i łąki.



Legenda o skowronku

Przed krzyżem stała Matka u stóp Syna
I ból ją wielki na duszy ucisnął...

I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:

Spojrzy się Marja — skowronek zawisnął.

I tak nad Panem uzalil się wiernie,

że chciał Mu odjąć choćby jedno ciernie,

Więc póty dzióbkiem i dziobał i dziobał,

Aż cierń z korony Najświętszej odskubał.

Błogosławiła Matka skowronkowi.

Podniósłszy w niebo swe oczy żalose

I rzekła w łasce: Będiesz człowiekowi

I Bogu śpiewał najpierwszy w wiosnę!

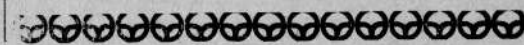
I jako rzekła mu Matka Bolesna —

Tak się też iści: bo ptaszyna wczesna,

Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi

I wielką chwałę Matki Boskiej głosi.

Wincenty Pol.



Spełniony sen

Kilkuletni Bogdan S. opowiada swej mamusi, co śniło mu się pewnej nocy:

...Ja wraz z mamusią i tatusiem zwiedzaliśmy wszystkie urządzenia na okręcie, jak maszyny, łodzie ratunkowe itd. Czując się trochę zmęczonymi, usiedliśmy na wygodnych iście amerykańskich krzesłach. Przyłączył się do nas p. kapitan. Z początku nie zauważył mnie. Dopiero, gdy tatuś mnie przedstawił temi słowy: Oto mój syn Bogdan.

Kapitan z uśmiechem uściśnął mi dłoń, bacznie na mnie spojrział, na moją budowę ciała i rzekł: Jak widzę, z pańskiego syna będzie raz kiedyś dzielny marynarz.

— No, chciałbyś zostać marynarzem?

— Tak! — odparłem prędko — i nawet kapitanem!

— Ha! jak widzę, masz chęć zostać marynarzem i kapitanem. ślicznie. Bijmy brawo! Tatuś z kapitanem klasali z całej mocy w dłoń brawo!!!

...Zbliżyliśmy się do ładu!

Na okręcie ruch nie do opisania. Marynarze biegali to tu, to tam... Wszystkie syreny odezwały się... My byliśmy już gotowi. Okręt stanął.

Nowy Jork.

W tem przystąpił do nas p. kapitan. W rękę trzymał mały okręcik i rzekł do mnie: Bogdanie! To dla ciebie, niech on będzie pamiątką na zawsze i życzę ci, abyś, jak tego sam pragniesz, mógł zostać kapitanem.

Żegnając się z nami, p. kapitan na koniec złożył na moim czole gorący pocałunek.

Wtem się obudziłem...

— Mamusiu, proszę mi przyrzeknąć, że gdy dorosnę, to mnie pośle mamusia do szkoły morskiej, aby mnie wykierowano na dzielnego marynarza, dobrze?

— No, dobrze, porozmawiam o tem z tatusiem.

Do czego dążył, to też zdobył. Po kilku latach mały Bogdan został dzielnym marynarzem.

Przygoda z parasolem

Pewien katechista misyjny w Barwag (Indje) szedł do miasta, niosąc ze sobą, jako jedyną broń — parasol.

Wśród dzikich gór Chota Nagpur, parasol oddaje człowiekowi wielkie usługi, a dla naszego katechisty stał się prawdziwym wybawcą.

Kiedy bowiem znalazł się niespodzianie przed tygrysem, idącym wprost na niego, odruchowo wysunął przed siebie parasol i bez namysłu otworzył go, czem przerażony tygrys, uciekł w zarośla.

Uśmiechnij się

WYJAŚNIŁ.

Nauczyciel: — Wytlumacz mi pochodzenie przysłowia: „Uczciwość i praca ludzi wzbogaca”.

Uczeń: — Przysłowie to pochodzi z czasów przedwojennych, a dzisiaj niema już zastosowania.

—o—

MAŁY CYGAN.

— Skąd masz tyle czekolady, Jasiu?

— Znalazłem 5 złotych i kupilem sobie.

— A gdzie znalazłeś pieniądze?

— W tatusia spodniach.

—o—

TEŻ RACJA.

— Stasiu, przyszedłeś znowu do szkoły bez tornistra. Jak nazwałbyś żołnierza, idącego na wojnę bez tornistra?

— Generałem, panie profesorze.

—o—

DAM JA SOBIE RADE.

W szkole ksiądz proboszcz pyta z religii chłopców.

— Powiedźże mi, Wojtek, ile też jest grzechów głównych?

— Ano, siedem, proszę księdza proboszcza.

— Dobrze — powiada ksiądz — ale wlicz je.

Wojtek chwilę się namyśla, a potem liczy bez zająknięcia:

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

DOBRY SYN.

Student: — Obiecałeś mi sto dolarów, jeśli zdam egzamin?

Ojciec: — Tak, i jaki rezultat?

Student: — Ciesz się, oszczędziłem ci wydatku! (Mercury).

HUMOR WIEDEŃSKI.

— Ojczy, co to jest telegraf?

— Wyobraź sobie, że istnieje olbrzymia żmija, której ogon spoczywa w Londynie, a głowa w Nowym Jorku. Gdy jej się nastąpi na ogon w Londynie, ugryzie w Nowym Jorku.

CZY NIE TRAFNE?

Na nauce religii pyta ks. katecheta:

— Ile rzeczy potrzeba do chrztu?

— Trzy, — brzmiała odpowiedź.

— Jakto? rzecze ks. katecheta — do chrztu potrzebna jest woda i Słowo Boże, a zatem dwie a nie trzy.

— A jeszcze dziecko, proszę ks. katechety.

Nasza skrzyneczka

KOCHANE DZIECI!

Bardzo ładny liścik przysłał nam Wiktor Promski z Wąbrzeźna. Píše on m. innymi:

KOCHANY WUJASZKU!

Stosownie do życzenia Kochanego Wujaszka skreślam kilka słów. Przedewszystkiem muszę przyznać, że ogromnie cieszę się, że dawno czekiwany dodatek dla młodzieży, został już dodany do świątecznego numeru. Dodatkiem tym jest „Opiekun Działwy”. W nim to mamy wszystko. — piękne legendy, opowiadania i bardzo interesujące opowieści. Dla miłośników radja jest też specjalny dział — słowem dla każdego coś. Ośmielony życzliwością Kochanego Wujaszka, śmię Go prosić, by był tak uprzejmy i umieścił w „Opiekunie” moją pracę. Na następny raz przysłał nowelkę i wiersz.

Kończąc, życzę redakcji „Głosu Wąbrzeskiego” by nadal się rozwijała i żeby każdy mieszkaniec miasta i wsi, abonował tak poczytne pismo jakim jest i będzie „Głos Wąbrzeski”.

Do ułyszenia, żegna i ściska Wujka

WIKTOR PROMSKI

Za życzenia serdecznie Ci dziękuję Wiktorku. „Apel” pójdzie w następnym numerze, a o dalsze prace proszę.

Wszystkie dzieci, które czytają naszego „Opiekuna” proszą o liściki i pozdrawia Wasz

WUJASZEK.

Zosia i wróbelki

Wróbeleczki, szare ptaszki,

Nie dadzą mi spać.

Już o brzasku pełno wrzasku:

— Proszę jeść nam dać!

Ej, wróbelki, kłopot wielki

Codzień z wami mam!

No, już zgoda! I was szkoda —

Wstanę, ziarnek dam.

M. Ch.

Radjo dla dzieci

W niedzielę o godz. 17.00 usłyszymy z Warszawy koncert orkiestry mandolinowej, a p. B. Hertz opowiadać będzie bajki. O godzinie 17.55 Stary Doktor wygłosi opowiadania „Magnes i lalka”.

W poniedziałek, dnia 6 maja o godz. 17-ej usłyszymy zagadki muzyczne.

We wtorek, 7 maja o godz. 16.50 p. Wanda Tatarkiewicz-Małkowska omówi listy od dzieci młodszych.

W środę, 8 maja o godz. 16.50 zainteresują się dziewczęta „Trzecim zebraniem klubowem”, a o godz. 18-tej zabawić nas będzie zespół harmonistów warszawskich.

W czwartek 9 maja o godz. 12.05 czeka nas piękne słuchowisko p. t. „Wesele Jasia i

W sobotę, 10 maja o godz. 17-ej słuchać będziemy pilnie nabożeństwa majowego z Wielkich Piekar, a o godz. 18-ej czeka nas „Wesoła audycja dla dzieci”.

JULJAN PODOSKI

BANZAJ

P O W I E Ś C

3)

Nauczyciel zbliżył się ponownie do niego i, jakby biorąc go pod swoją opiekę, mówił głośno:

— Stefek Mirski urodził się w Japonji, gdzie bardzo wysoko cenione jest prawo gościnności. Tam każdy gość witany jest z radością. Wszyscy starają się okazać mu przyjaźń. Chcę, żeby i u nas tak było. Mirski musi się przekonać o tem, że Polacy są nie mniej gościnni od Japończyków.

Mały syn polskiego inżyniera i Japonki, „Kwiatu Różowej Wiśni”, stał jak pod pręgierzem. Twarz jego bladeła, to znowu szarzała. Dziesiątki oczu patrzyło na niego. Dziesiątki spojrzeń wwiercało się pod żółty naszkórek jego oblicza, ślizgało po czarnej, jak smoła, czuprynie, zawisało na skośnych oczach. Stefek był niższy od innych rówieśników. Miał wąskie ramiona i zapadnięte piersi. To wszystko wzbudzało w nowych kolegach zainteresowanie i podziw, zarazem zaś coś, jakby odrobinę lekceważenia. Mimo woli porównywano go z wyglądem innych chłopców w klasie. W wielu głowach rodziło się przekonanie, że ten, który nosi polskie imię i nazwisko, nie jest jednakże Polakiem. Mimo łagodnego uśmiechu, który niepewnie błakał się po żółtej twarzyczce, był dla nich jakiś obcy i daleki. Poprostu nie był takim, jakim byli wszyscy polscy chłopcy o różowej cerze i jasnych włosach. Dlatego też, pod wrażeniem tego kontrastu, który tak wyraźnie był z porównania Stefka z nimi, nikt w klasie nie mógł zdobyć się na wymówienie pierwszego słowa przyjaźni i życzliwości. Milezano. Dopiero, gdy Żaniecki, umyślnie przeszedł na inny temat, aby dać klasie możność spokojnego przemyślenia doznanych wrażeń, ozwały się pierwsze nieśmiałe głosy, zciszone i jeszcze niepewne:

— Japończyk między nami...

Sąsiad z prawej strony Stefka, siedzący w równoległym rzędzie ławek, nagryzmolił coś szybko na kartce wyrwanej z kajetu i, zwinąwszy ją, przesunął ją do Mirskiego. Tamten drgnął, lecz instynktownie nakrył karikę dłonią, później zaś ostrożnie rozwinął i pod pulpitem przeczytał:

— Niech żyje Japonja! Cześć! Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi. — Jurek Śląski.

Pogodny uśmiech wykwitł na żółtych policzkach Stefka. Nie zwracając uwagi na to, że patrzy na niego Żaniecki, podniósł małą rękę i skinął czarną czupryną. Skośne oczy mówiły bez słów:

— Dziękuję! Będę twoim przyjacielem...

Wychowawca, pelen troski dotąd, uśmiechnął się także. Spojrzał na zegarek. Za chwilę miał rozdzwiezczyć dzwonek, obwieszczający pauzę. Gdy zaś rozległ się, wziął wielki dziennik pod pachę i wolno wyszedł z klasy, zdążywszy uprzednio nieznacznie pogłaskać Śląskiego i szepnąć do niego:

— Dziękuję ci chłopcze, za to, żeś był dla niego dobry!

Zanim poglaskany mógł zrozumieć, co się stało, nauczyciel już wyszedł z klasy, a przez drzwi wchodził pelen buty i złości Janek Śląz. Zatrzymał się na progu, jakby kogoś szukał. Dojrzawszy Stefka, którego otaczała gromadka chłopców ze Śląskim na czele, zbliżył się z miną wyzywającą:

— Lizus!

Obecni odwrócili się zdziwieni.

— Dlaczego go tak nazywasz?

Janek wełknął obydwie ręce w kieszenie:

— Czy nie widzieliście, jak się słodko uśmiechał do Żanieckiego?

Obrzucił Mirskiego pogardliwym spojrzeniem i mruknął tonem obraźliwym:

— Żółta pokraka!

Kilku malców zachichotało w kulak, lecz jednocześnie wysunął się naprzód Śląski, stając oko w oko ze Ślązem:

— Nie masz prawa go obrażać.

— Ciebie się będę o to pytał, smarkaczu? Cóż to czy wynajęto cię na stróża tego...

Nie dopowiedział jednak rozpoczętego zdania do końca, gdyż spadła na niego pięść Jurka. Łobuz nie pozostał dłużny. Poczeli się bić nie na żarty. Janek miał widoczną przewagę nad Śląskim, ale tamtego ogarnął zapal, w obronie niewinnie napastowanego Stefka. Zadawał razy, nie oglądając się na nic. Janek oddawał je, jakby od niechcienia. Wykrzykując pogardliwie:

— Obydwu wam pokażę, tobie zaś dam taką szkołę, że długo popamiętasz.

Zamachnął się z wprawą wytrawnego zabijaki. Cios dobrze wymierzony, trafił przeciwnika w nos. Jurek zachwiał się i usunął na najbliższą ławkę. Z nozdrzy pobitego buchnęła krew...

Wśród chłopców powstało zamie-

szanie. Któryś poczał beczeć z wrażeń i ze strachu.

Ślaz opamiętał się, lecz w tejże chwili zapanował nad gromadką:

— Który tam się maże jak baba?

Zbliżył się do Jurka, rzucając mu własną dość brudną chustkę:

— Na masz i zatknij sobie nos, to ci zaraz przejdzie. Na drugi raz nie porywaj się, pętaku, na starszych.

Odwrócił się od Mirskiego, ukazując go reszcie chłopców:

— Widzieliście, co to za tchórz? Tamten przynajmniej dowiódł, że jest odważny, a on...? Tfu! Takim nie warto rąk brudzić! Rozumiesz tchórzku?

— Nie jestem tchórzem — sprzeciwił się Stefek.

— Słyszeliście? — naigrywał się Janek — on jeszcze ośmiela się gadać?

Teraz Mirski rzucił się na Ślaza. Nie zdążył zmierzyć się z nim, gdyż w drzwiach ukazał się Żaniecki:

— Co tu się dzieje?

Chłopcy rozpryski się po kątach, na środku zostali tylko zaperzony Stefek i podstępnie uśmiechający się Janek:

— Nic się nie stało, panie profesz-rze, my tak tylko sobie chcieliśmy spróbować, kto z nas jest silniejszy...

— Nieprawda! — krzyknął Jurek, który zdołał już zatamować krew — to on zaczepiał i drażnił się z Mirskim!

Wychowawca spojrział na Ślaza: — Ładnie nowy rok szkolny zaczynasz, zostaniesz na dwie godziny po lekcjach.

Łobuz pogardliwie wydał wargi:

— Phiiii...

Po wyjściu nauczyciela, zasiadł w swojej ławce, jakby nigdy nic i poczał przeglądać jakąś książkę do czytania. Odrzucił ją przecież szybko, grożąc pięścią Jurkowi:

— Mało dostałeś? Chcesz pewno jeszcze więcej oberwać, skarżypyto?

Następnie nagle powstał i rozprostowując ramiona, jak bokser, który w każdej chwili może rozpocząć atak, ukazał potężne łapy Stefkowi:

— Mamy jeszcze czas, jeszcze zdążę ci wsypać, ty kitajski Mongole!...

Zachichotał, zadowolony z własnego dowcipu, powtarzając z pogardą:

— Mongol, krzywooka małpa!

Po kątach odezwały się śmieszki innych:

— Ślaz ma rację, bo to przecież jest prawdziwy Mongol!...

(Dalszy ciąg za tydzień).